



Wojciech Kudyba

Jewropa

Fragment powieści Nazywam się Majdan. Jej bohaterem i narratorem jest Ukrainiec polskiego pochodzenia – Petro Majdan

Bo też po prawdzie nie kto inny winowaty naszym konfuzjom i tarapatom, tylko ja sam. Zaraz gdyśmy tylko wyjechali, papa zaczął bowiem do miasta jeździć. Niby to do Bochum z automatu podzwonić – bo u nas jeszcze telefonu nie było – a po prawdzie to po lokalach snuł się do północy. Wnet również książki do domu znosić zaczął, co od razu na złe wróżyło lub na strapienie. Nie raz mu matusia tłumaczyła: „Petro z Bochumu nie wiadomo czy wróci, po co nam więcej kłopotów w rodzinie. Okno byś lepiej utkał, wody na noc naczepał, gdy nie wiadomo czy jutro popłynie... Na co ci jeszcze na starość papierem głowę napychać i myślami, od których tiurumą wieje i Sybirem zaraz zaciąga śmiertelnym”. A on nic. Nic zupełnie, jakby ten mój wyjazd zapadkę w nim tajemną otworzył, krew dawną spuszczać zaczął, co przedtem zakrzepła, a teraz buzować zaczęła lub kipieć. A przecież na rencie już wtedy był, na wątrobę od dawna stękał. I w ogóle trudno go było teraz poznać. Na twarzy wychudł,

lecz jakby też zmężniał, ruchy miał szybkie, ale jakby wolne, małowówny się stał i skupiony, przy tym wymowny poniekąd i na duchu krzepki. Pytała się nieraz Bakunowa, zachodziła niby po sól, niby po mąkę bacznie po przystojności jego od góry do dołu popatrując i zaraz też biegła do domu, garnek postawiony na kuchni przypilnować. Kto zaś tak przenikliwie oraz z uwagą pyta, wiedzącym niebawem stać się może, więc i z nią tak bywało. Jeszcze tego samego wieczoru z sąsiadkami siadała, by nowiną świeżą, jak chlebem pszenicznym się podzielić i zaraz jej przytakiwały, że na pewno kochankę w Kijowie ma, bo wszyscy widzieli, jak przed uniwersytetem w tłumie studentek szedł, transparent jakiś trzymał, a jedna cycki całkiem na wierzchu miała, na nich zaś napis był „swoboda!” smołą czarną namalowany przez Belzebuba samego chyba.

Długo też i gorąco do odwagi codziennego życia wzajem się namawiały, nad Olgą nieszczęśliwą do późnego wieczora płacząc, gdy papa w innym miejscu jeszcze raz zamówił dla wszystkich kolejkę i niby niepatrzący, w dwóch towarzyszy swoich się wpatrywał, a nie słuchając chciwie słuchał. Jeden z nich zaś właśnie mówił, że siła nie z gniewu jest, ale z godności. Wiele przy tym przykładów

dawał, jak narody ponad wytrzymałość swą upokorzone, nieraz za sprawą wodzów lub choćby watażków swoich w obłęd dziki wpadały, który już hamulców żadnych potem nie miał, w diabelskie okrucieństwo się zmieniając.

– Nam zaś nie gniew budzić, lecz siłę. Ta zaś płynie z tego, żeśmy zjednoczeni przez wierność i szacunek. Żeśmy w tym właśnie godność swą odnaleźli, że gotowi jesteśmy zginąć raczej niż dobro wspólne zdradzić!

Tak jeden z nich właśnie się odezwał, a ubrany był w paltot ciemny, pod którym sweter pomarańczowy radośnie połyskiwał, niby znak nadziei. Od niego też natychmiast każdy z nich plik papierów odebrał, do teczki schował i z głową podniesioną na ulicę wychodził, która, choć mroczna, jasna im się zaraz wydawała i prosta niby promień, który właśnie z dalekiego nieba spadał, od gwiazdy zamarłej, a ciemnej.

Z ostatnim jego blaskiem papa złocisty przeto do pokoju



wchodził, jeszcze pod wieczór poświęcał milczenia swego mądrego świecił, gdy tymczasem matuleńka w ciemności schła od zgryzoty bezmiernej, już kuliła się od troski, która ni źródła wyraźnego nie ma, ni nazwy, chyba że w urazach z dzieciństwa. Niby cieszyła się, że taki teraz miastowy oraz światły, że na prawego Ukraińca wyrobił się, a mowy radzieckiej i bolszewizmu swego dawnego jak szatana w cerkwi się wyparł. Bo nie można powiedzieć, do świątyni sam z siebie chodzić zaczął, nieraz nawet całe nabożeństwo wytrzymał. Cóż z tego przecież, skoro matusi żadna poprawa zdrowotna od tego nie przyszła, a wnet pogorszenie i paroksyzm. Nie od razu bo też cokolwiek widać było, dopiero może za dwa miesiące, gdy lato powoli we mgły zaczęło zapadać, liście blednąć, a Hryhoryj na przepustkę z wojska wyszedł. Siedział właśnie w kuchni, gdy wróciła z roboty szybciej. Spojrzał – widzi, że obiadu z kuchni szpitalnej, jak to zwykle było, nie przyniosła, tylko kurę na targu kupiła i zaraz rosołu nagotowała z kluskami. Już miał coś rzec, gdy go ubiegła:

– Jedz, dytyno! – powiada. – Jedz rybeńko moja! – I gładzić go zaczęła po karku podgolonym, aż się wzdrygnął, na podłogę splunął, bo gładzenia nigdy u nas nie było, a i o słowo ciepłe bywało czasem trudno. Niewiele przecież pomogło, choć spluwał coraz siarczyściej i syczeć zaczął. Nie minęła chwila, a ona znów gładzić się zabiera:

– Jedz, jakbyś posiłek ostatni w gronie rodzinnym spożywał. Wszak opuszczenie straszna jest rzecz, gdy żal jak kuczma stara na drodze w środku dnia cię dopada. Już i mnie dni niewiele zostało, gdy bezmożność chęci wszystkie wysysa, a słońce ciemniejsze i jak pieniążek małe się robi.

O, wystraszył się Hryhoryj! Może po raz pierwszy w życiu się wystraszył, do Bakunowej polecił radzić się, czy lekarza czy psychiatra może, a Bakunowa tylko głową pokiwała, bo wiadomo, że jak słońce niby pieniążek się robi, już i lekarz, i psychiatra żaden nie pomoże, tylko babka-szeptucha, co pod lasem mieszka, stara Hryniowa, kołdunia najprzedziwniejsza. Wyzbierał się zatem rano, grosza naszykował, zaraz biegł o pomoc prosić, gdy babka czarowna akurat gałęzie z lasu wlokła. Jeszcze jej dobrze nie widział, a już „Sława Bohu!”, krzyknął, a potem pomógł grzecznie, drewno na kawałeczki porąbał, pod kuchnią zapalił, choć jeszcze bardziej w środku go paliło niż ogień, co ze szczapy sosnowej chciwie buchnął. A Hryniowa spokojnie garnek na fajerki położyła, kartofle nożykiem obiera i głosem swoim cichym, chropawym powiada:

– Spojrzenia złe i pogardliwe, przez świat w naszą stronę rzucone, tylko dobrym i świadomym swej godności spojrzeniem odwrócić możesz. Niech bat’ko codziennie wieczorem z troską przez pół godziny przynajmniej młodocy swojej się przygląda, rano zaś da jej dwa jajka na miękko, a skorupki nie wyrzucajcie, tylko w moździerzku pogniećcie, na czubku noża do obiadu dodawajcie. Czekoladę też krasawicy waszej kupcie i cynamon. A póki jeszcze można, pokrzywmy świeże zbierajcie, niech sok pije, albo choćby i kilka listków zje dziennie. Zaś gdyby zmarły, dam wam ususzonych i korzeń kozłka, co sen przynosi i słodycz.

Więc zaczęli zbierać. Najpierw obaj, a potem sam Dmytro, gdy Hryhoryj do wojska znów pojechać musiał. Spisał się też chwata nasz najmłodszy dobrze, choć szkoły wtedy jeszcze nie miał skończonej i pstro mu w głowie było. Chodził co drugi dzień aż za tory, za las na dąbrowę, tam tego pokrzywmy kosił, zanim mróz wszystkiego nie zwarzył, listków nie poczerzył. W domu zaś sok na maszynie żeliwnej kręcił, jajka u Bakunowej kupował najlepsze oraz cynamon, a czekolady papa z Kijowa przywoził, ale same nasze, w Winnicy robione, lepsze niż szwajcarskie czy belgijskie. Wciąż jej też o godności mówił, która z wierności się bierze, czyli z tego, że wielu egoizmu się wyrzeka i do dobra wspólnego duszę swoją skłania. A tak patrzył na nią z siłą właśnie jakowąś przemożną, tak w środek oczu młodocy swojej się wpatrywał i tak zamawiał, że z wolna podniosła się

żywicielka nasza, podniosła opiekunka najdroższa. W listopadzie już jej całkiem dobrze było, bo papa nasz w domu teraz siedział, ulotki odbijał i tylko od czasu do czasu wychodził, na drzewach lub płotach rozlepił. A co się przy tym ludziom natłumaczył, to jego: że kto Ukrainie zaufa, jakby żonie swej najlepszej ufał, jakby dziedzica swego wspaniałego płodził ten, kto głos swój przez otwór w skrzynce na „Naszą Ukrainę” odda. Słuchali go też ludzie inaczej, bo w oczach miał nowy żar jakiś i nawet matuleńka słuchała z podziwem, zwłaszcza to o żonie. Bo nie spał już teraz na werandzie, jak w lecie, ale do pokoju się wrócił. Też wszystko w ogóle stało się wtedy jaśniejsze, całe tygodnie wstawiały w barwach przyjemnych, które chęci do czynu budzą. Wnet bat’ko pokój w oranże piękne pomalował, a matusi szlafrok pomarańczowy, aksamitny kupił. Pisał mi Dmytro, że w grudniu, to nawet i pomarańczową bieliznę jej darował, a na święta, choć nigdy tego nie robił, choinkę w pomarańcze małe ubrał, skórek po kątach dla zapachu porozkładał.

Dziwny to bowiem czas był: niezwykajny październik, a grudzień tym dziwniejszy. Niby wciąż ciemny, a przecież nad podziw jasny – gorący w zimnie swoim, a w srogości łagodny. Rzekłbyś, że wiosna późna w zimie u nas zawitała, by wiosny spod śniegu na mrozie wywieść. Wszystko bowiem w oczach tajało. Lody, które nieraz przez całe dekady między stronami kraju narastały, nagle jakby pękać zaczęły. Te zaś, które między ludźmi przez lata wyrosły, tchnienie jakoweś nieznanne, a gorące w wodę źródlaną zamieniało. Czysta była ona i przejrzysta, rad więc który niektóry i oczy



KULTURA

NAZYWAM SIĘ MAJDAN

nią przemywał, i ciało całe, by nie tylko całkiem na nowo na świat spojrzeć, ale całą swoją skórę z dawnych brudów oczyścić i niejako świeżą przyoblec, by nowym człowiekiem stać się na czasy całkiem niepodobne. Niejeden też wtedy – ku wielkiej sprawie powszechnej się zwróciwszy – krzepę nieznaną wcześniej w sobie poczuł i sam do siebie szacunek na tyle odzyskał, że ku innym wychodził z dłonią serdeczną oraz sercem otwartym na oścież.

Tak właśnie i u nas było, gdy jakoś tuż po 25. listopada, po przemówieniu słynnym Wałęsy, bat'ko nasz z Majdanu niewielki znaczek z napisem „Solidarność” przyniósł i zaraz na drugi dzień do kieszeni garnituru swego świątecznego go chowając, elektryczką wyruszył w podróż niespodziewaną, z dawna wyglądaną. Niedaleko bowiem jechał i bardzo daleko do świekry swojej. Krótka też, jakoby półgodziny, a przecież lat dwadzieścia, które właśnie jak góry lodowcem okryte między nimi się kładły, przeprawy wszelkie utrudniając. Niejedna bowiem już w ich stromych zboczach ekspedycja pomarła, niejedną lawina w dół porwała na pochybel. Niebezpieczna to przeto była podróż i bezpieczna, bo też z dru-

giej strony, jakby
natchnie-

niem wiedziona, babcia serdeczna na próg domu wyszła, serdak zapięła i ścieżką sunęła w kaloszach sznurkiem podwiązanych do furtki zamkniętej na skobel i jakby w nieznane otwartej. Bo cóż wiesz o człowieku, który w jednej chwili odmienić się może? Cóż o świerze swojej, a choćby i zięciu, z których w jedno mgnienie, niby łuska węża kształt dawny odpada świeże odsłaniając ciało, a pod nim nowego całkiem i niepodobnego ducha?

Tak wła-
Dostojew-
niby w har-
natychmiast
M a j d a n
do furtki
buraków i
a potem,
i zachód,
d u c h o -
świadcząc,
świat cały, i
o zmiłowa-
widział też
łajewicz Toł-
i widział,

śnie u nas się stało. Nie widział tego Fiodor Michajłowicz
ski, choć może i widział w niebieskiej ojczyźnie pisarzy
wardzkim podręczniku na tronie siedząc. A zobaczywszy,
to innym przedstawił w czasie terażniejszym, jak Wasilij
z sadu wychodząc, niby Rodion Romanycz Raskolnikow
przystępuje, a zaraz za nią – tam, gdzie krzyżują się ścieżki
marchwi – tam właśnie teściowej swojej głęboko się kłania,
klękawszy, ziemię cztery razy całuje. Potem zaś na wschód
południe i północ się obraca, o swej dawnej z i m i e
wej i bezmożności ślepej g ł o ś n o
nie tylko zaś babuszkę, a l e i
stworzenie wszelkie
nie prosząc. Nie
tego Lew Niko-
stoj, choć może
na innym
tronie, niby

katedrze oxfordzkiej siedząc. A widząc to, innym opowia-
dał, jak Anna Feliksowna Majdan z grobu pogardy swojej
niby człek zmartwychwstały powstając, duszę swoją przed
Wasilijem jak osiem błogosławieństw naszego Pana otwarła
i sama niejedną słożę gorzką utoczywszy, także o przebacze-
nie prosiła za myśli złe oraz wyniosłość, za chwile słabości
i pychy.

Najlepiej zaś dostrzegł to mniej znany obywatel zaświato-
wego parnasu, urodzony w Nowicy pod Gorlicami Bohdan
Ihor Antonycz. On to właśnie swym okiem młodzieńczym
z nieb oddalonych wszystko natychmiast wypatrzył, by w
szlachetną formę dumki skwapliwie przyoblec i bandurzy-
stom terażniejszym do śpiewu zadać. Było zaś w niej o tym,
że Wasilij odważny za nic miał, że ludzie się zbiegli, za nic
miał uśmiechy szydercze lub wyrazy, co niejednemu ostrzem
swym szyję by uciąć mogły. Było, że dotąd biegł, aż babuleńka
siwa w obawie stanęła czy go zatrzymać podoła ramieniem

swoim i kosturkiem. Było też, że płacz przeraźliwy pierś mu do reszty rozdarł, gdy tak padli sobie w ramiona, zaś babuleńka, kij wypuściwszy, sama kwilić zaczęła płaczliwie: „synku mój, synku...”. I w strofie czwartej dał nam też do zrozumienia poeta, że więcej nic już mówić nie mogła, tylko łzy ich na ziemię kapały, a tam, gdzie najwięcej się nazbierało, lód się natychmiast topił. W piątej zaś miał na myśli, że dziwili się temu ludzie, ale i nie dziwili, zaś babusia roztoimiła ni ćwikłowych, ni marchwi w tym miejscu już potem nie sadziła, tylko georginie niebieskie i żółte, a za nimi szlachetne goździki czerwone oraz białe. I dopiero po roku Bakunowa opowiadać zaczęła, że one same tam wyrastają – w tym miejscu, gdzie cud rodzinny się dokonał – na znak dla miasteczka, a może też dla całej ziemi naszej znękanej i pięknej.

Bo też pewnie za szybko wszystko to się działo, za daleko od zwyczajnych myśli – tak spieszenie, że nawet ona, sąsiadka nasza, co zawsze wiedząca była, przestała nadążać. Może tak śmiało to było, że tylko najśmielsi pojowali. Był zaś wśród nich nasz papa, gdy w nim właśnie znak się największy dokonał, a nic dziwnego w tym nie ma, boć przecie zawsze cuda największe tylko w ludzkim sercu odnajdziesz, nie gdzie indziej. On to, gdy raz już wieczorem w Kijowie godność swą na nowo poznał – co z wierności wypływa i nasza duszę nie tylko z ludźmi, ale i całym przyrodzeniem łączy – on to czynem zaświadczył, że każdy z gnicia cuchnącego i upadku swojego powstać w dowolnej chwili może i ku dobru wspólnemu wiedzę swoją obrócić.

A wiedział on teraz o wszystkim jak mało kto, oj, wiedział! I o znaczeniu jedności, i o honorze oraz prawach jego. Umiął

też słowa przemożne z głębokości serca wydobyć, umysły ciężkie z gnuśności zimowej powyrywać niby Wernyhora. Na zawsze już go tedy wieszczem naszym przewali, gdy raz pokazała go telewizja, jak na kosz od śmieci przewrócony jednym susem wzbił się, by w mocy swej straszliwej na całe gardło ryczeć „ja jestem Majdan!” oraz „Sława Ukraini!”. A przecie kto słowa skuteczne miotać umie, ten i cudzym słowem silnie dotknięty być może, nawet poniekąd ciężko porażony. Nieraz się więc zdarzało, że baćko z Kijowa posiniaczony powrócił, a dnia jednego, poturbowanego srodze, karetka go na sygnale pod dom samiutki przywiozła. Wychodzi powoli dwóch sanitariuszy w mundurach, głowy w kominiarkach schowane od zimna mają, papę pod ręce prowadzą, lecz on zaraz w progu im się wyrwa! Mało tego: wnet całkiem swobodny przez sień leci! Co więcej: nagle, nosem o podłogę zaczepiając, do domu wpada niby kometa, gdy oni na dworze jak niegramotni zostali!

– Nic to, Olga! – woła. – Na nic berkutowe razy, kiedyśmy jako naród Ukrainy swą godność i niezawisłość odkryli, gdyśmy nareszcie wielcy przecie jednak nie wielkością cudzą, ale własną, Majdanową!

Struchlała mateńka, już jej i Magadan, i Kołyma przed oczami przeszły, lecz zaraz krew pod nosem tamować zaczęła, rany jodyną przemywać. Te jednak płytkie były, tak że wnet papa, niby wieszcz właśnie, sam już sobie mógł kielicha nalać, a po paru dniach całkiem wydobrzał i o sylwestrowej nocy przemyśliwać zaczął, bo huczna miała być w tym roku jak nigdy.

Czegóż tam nie było! Jak mi wyliczył w liście Dmytro, renta cała ojcowa w jeden tydzień poszła i znowu u babuleńki pożyczać trzeba było. Matula ze sto może pielmieni ulepiła, słoniny nacukrowanej przyniosła, a musztarda do niej kozacka była oraz wódka nie z byle czego pędzona, ale z żyta naszego, które z żadnym innym równać się nie może. Tuż po telewizyjnym orędziu premiera, gdy już wiadomo było, że nowe idzie, sąsiadów naszych się naschodziło, ojca kolegów kilku nawet z Kijowa przybyło, a już wcześniej diadia Jurij z Zaporoża się objawił, a także babuleńka nasza czarowna i Hryhoryj, który z wojska na dobre wyszedł.

On też herojom stał się nocy tej precudnej, bo pięknie prawił, jak to w koszarach jak jeden mąż zbuntowali się, że na braci rodzonych ręki nie podniosą, krwi ojczyźnianej nie przeleją i jak sam dowódca im zaprzysiągł, że ich jednostka Majdanu bronić będzie, a kto Majdan nazywa się, ten niezwłocznie ordynansem generała być może, a w przyszłości adiutantem nawet. Ot, popił sobie kozak nasz chrobry i coraz barwniej opowiadał, jak wiedzę wojskową silnie zgłębiał, tak że teraz liczne koktajle Mołotowa z benzyny lub ze styropianu robić może, nawet z saletry petardy, zaraz też z Dmytrem pokaz sztucznych ogni dali, co mieli wcześniej w drewni domowym sposobem narobione i pochowane. Potem dziarsko tańcowali wszyscy do świtu, a ślepy Semen na harmonii grał, śpiewali też cudnie pieśni ukraińskie, nawet i polskie. Wszyscy też od razu do świąt zostali, na stryszku w obórce u babci pościelone mieli, a w Swiatyj Weczir za stołem zasiedli, prosofore pięknie między siebie podzielili i nawet babusia nie narzekała, że jej czosnek w czterech rogach stołu śmierdzi, tylko kutię, co ją sama robiła, na środku postawiła, wraz z innymi po ziarenku pszennym odłożyła dla duchów przodków naszych, które w tę świętą noc do domu rodzinnego się zlatują. Bo byli też na cmentarzu, a potem do cerkwi poszli na Welykie Poweczirja i zanim spać poszli, jeszcze się serdecznie całowali, jeszcze nawzajem zapewniali, że nowe teraz porządki nastaną, aż baćko nasz mocarny nie wytrzymał i na całe gardło o świcie krzyknął:

– Ot, bracia, teraz u nas dopiero Jewropa!!!